

WILL STANTON

WESOŁE MIASTECZKO



FIKcje I FAKTY 3/1988

Wąską asfaltową szosą można dojechać wzdłuż laguny do położonego nad samym morzem starego miasteczka. Wystarczy zjechać z autostrady o jakieś dwie mile. Malownicza sceneria - po lewej roziskrzona woda, po prawej strzeliste drzewa - przyciąga uwagę, a jednak młody człowiek za kierownicą zagranicznego samochodu nie odrywał wzroku od drogi. Minął szkołę, minął kościół, z rykiem silnika przejechał główną ulicą i wyhamował przed barem.

Pył jeszcze nie opadł, kiedy po drugiej stronie ulicy pojawił się chłopczyk z wagonikiem na sznurku. On także się zatrzymał. Samochód miał żółtą karoserię i zielone siedzenia. A także przyozdobione srebrnymi króliczkami dekle. Chłopczyk uwielbiał płać psikusy. Po chwili zmykał już, gdzie pieprz rośnie, ciągnąc za sobą podskakujący wagonik, w którym dekle pobrzękiwały wesoło.

Tymczasem w barze wysoki młody człowiek stawiał kolejkę. Uczciwy wzrok, życzliwy uśmiech i sposób, w jaki wyciągnął portfel z wężowej skóry i położył na ladzie szeleszczącą dwudziestkę, zdradzały, że ma on łatwość nawiązywania kontaktów. Każdy głupi to widział.

Barman Matt głupcem nie był.

- W jakiej branży pan robi? - zapytał.

- W „Americanie” - odparł prostoliniwny młodzian. - Reprezentuję Amerykańskie Towarzystwo „Americana”. Zbieramy wszelkiego rodzaju folklor... lokalne historyjki, przyspiewki, tradycje, jakieś zabawne zwyczaje, takie tam rzeczy.

Harmon, zwalsty rudzielec w kapeluszu i gumiakach, odwrócił się i wlepił w niego wzrok.

- I co wy z tym robicie? - zainteresował się.

- Część materiałów utrwalamy na taśmie filmowej, a część spisujemy. Naturalnie, wszystko chronione jest prawem autorskim. Dzięki temu nikt inny nie może wykorzystać tego, co zakupimy, rozumiecie.

Jegomość o chudej twarzy, ubrany w fartuch sklepikarza, pochylił się i oparł o ladę przed Harmonem.

- Znaczący się, człowiek przez całe życie robi coś po swojemu, bo ma takie przyzwyczajenie, a wy je kupujecie i chronicie niby tym prawem autorskim? - odezwał się. - A co takiemu przeszkodzi dalej robić swoje?

Matt wybuchnął śmiechem.

- Władza, Doc... władza może cię za to posadzić.

- Tam do kata! - obruszył się Doc. - Kiedyś posuną się za daleko.

Tymczasem młody człowiek rozglądał się po sali, skutecznie ukrywając pod pełną zapałą miną bezbrzeżne zdumienie. Swego czasu „Americana” jak kraj długi i szeroki zbierała po tawernach bogate, owocne plony. Niestety - było, minęło. Przyszło mu na myśl, że chyba popełnił błąd, decydując się na tę wyprawę - oto trafił do jeszcze jednej nędznej kopii tysiąca innych barów w tysiącu innych bezbarwnych miasteczek. A z drugiej strony Waldemar zaklinał się, że wpadł na trop czegoś zupełnie niezwykłego. Odchrząknął więc znacząco.

- Prawdę mówiąc - rzucił tonem zapraszającym do konwersacji - przyjechałem tu, żeby poznać historię tych wraków u wybrzeża.

- Raków? - Matt był wyraźnie zdziwiony. - O jakich rakach pan myśli?

- Mówię o wrakach, a nie rakach. - Młody człowiek odwrócił się, kierując do wszystkich bywalców swój zaraźliwy śmiech. - Wiecie, w dawnych czasach rozpalano na lądzie fałszywe ognie, żeby zwabić statki na przybrzeżne rafy. Tak, tak... - mówił z coraz większym przekonaniem, w miarę jak zapalał się do tematu - to jeden z najbarwniejszych działów „Americany”. Wyobrażacie sobie, że kiedyś całe osady opierały na tym swój byt?

- Tutaj o niczym takim nie ma mowy - stwierdził Harmon, podchodząc do drzwi i zagradzając wyjście swym masywnym cielskiem. - Bywa, że morze wyrzuci na plażę to i owo,

ale nie ma tu nic z tych rzeczy, o których pan mówił.

- Ależ nie, oczywiście... nie myślałem o czasach współczesnych. - Obcy zmarszczył brew, by ukryć rozbawienie spowodowane dziecinną pomyłką olbrzyma.

- Tak - mruknął Matt. - Tutaj statki rozbijają się tylko i wyłącznie z powodu fal. Mam rację, Harpy? - Odwrócił się do najstarszego z gości.

Harpy potarł szarą szczecinę na brodzie. Jego ręka drżała.

- Święta prawda, fale tu są zdradliwe - potwierdził, zwracając przepite oczka na jasnowłosego młodzieńca. - Co roku będzie ze trzydziestu, czterdziestu topielców.

- Dobry Boże! - Przybysz obrzucił go zaskoczonym wzrokiem. - Trzeba z tym coś zrobić!

- A trzeba, trzeba - przytaknął Harpy, mądrze kiwając głową. - A względem tych miejscowych zwyczajów, czy co to ma być, to pan się spyta na pocztę. Jak kto co wie, to musi oni. To moja rada, panie...

- Palsey - odpowiedział obcy. - Gene Palsey. No cóż, dziękuję za radę, ale najpierw porozumiem się chyba z panem Waldemarem. Czy któryś z panów mógłby mi powiedzieć, gdzie się zatrzymał? - Rozejrzał się wyczekująco. - Pan Waldemar jest jednym z naszych przedstawicieli - wyjaśnił po chwili ciszy. - To właśnie on wpadł na trop tej historii z wrakami. Kilka dni temu zadzwonił do centrali i powiedział, że się tu wybiera.

Matt potrząsnął głową.

- Nic nie słyszałem, żeby kręcili się tu jacyś obcy. Pewnikiem ktoś źle zapisał wiadomość.

- Ależ rozmawiałem z nim osobiście i wyraźnie mówił, że wyjeżdża do was bezzwłocznie. Był wyraźnie podekscytowany... musiałem mu nawet obiecać, że nie pisnę o tym ani słówka.

Harpy wychylił szklankę do dna i postawił ją delikatnie na ladzie.

- Ten gość, co go pan szuka, to nie jest czasem taki mały bysiowaty facet w grubasnych okularach? - zapytał.

- Otóż to! - potwierdził Palsey z ożywieniem. - To Waldemar, jak żywy. Wie pan, gdzie on jest?

- Gdzie jest teraz, to nie wiem - zaprzeczył Harpy. - Będzie ze trzy dni, jakem go widział... w Hadesburgu. - Zastanowił się. - Na dworcu, jak kupował bilet na autobus do Minneapolis.

- Co takiego? - Palsey rozdziawił usta i wlepił w niego oczy. - Ależ... ależ to absurdałne. Chyba postradał rozum!

- To samo żem mówił - przytaknął Harpy, kiwając głową. - Wyglądał mi na takiego, co to stracił pamięć. Nawet tak powiedziałem, jakem wrócił.

Palsey otworzył portfel, zamknął go i spojrzął na zegarek. Kipiał ze wzburzenia.

- Bardzo mnie to niepokoi, bardzo - wymamrotał. - Chyba skontaktuję się zaraz z centralą.

- Co pan się tak śpieszy, panie Palsey? - Matt oparł mu dłoń na ramieniu. - Poleję jeszcze jedną kolejkę i razem dojdziemy do tego co i jak. Harpy - zwrócił się do starca, znacząco marszcząc brwi - sam nie wiesz, co mówisz. Trzy dni temu wcale nie byłeś w Hadesburgu... Bogiem a prawdą, nie ruszałeś się stąd od tygodnia!

- Mówiłem coś o trzech dniach? - Harpy nadstawił szklankę. - Chciałem powiedzieć: przed trzema tygodniami. - Spojrzął na Palseya. - Jak tak dobrze pomyśleć, to ten facio wcale nie był taki znów bysiowaty. Może i wydawał się gruby, ale po prawdzie był chudy jak szczapa. - Wychylił połowę zawartości szklanki i w zamyśleniu otarł usta. - Skóra i kości.

- Jeden z najlepszych pracowników „Americany” - mruknął Palsey pod nosem. Wyjrzał przez okno i spuścił wzrok na ladę. - Sam nie wiem, co o tym myśleć - bąknął strapiiony.

- Grunt to się nie przejmować - oświadczył Matt. - Bardzo być może, że ten cały

Waldemar łyknął sobie parę kielonków, poszedł w kurs i szukaj wiatru w polu... tylko patrzeć, jak wróci po kryjomu, ścichapęk. W takich to sam diabeł wstępuje, jak już się urwą z chałupy.

- Przez telefon rzeczywiście wydawał się bardzo dziwny. - Palsey rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek wskazówki. - Coś w tym musi być.

- Sie wie - odparł barman. - Martwi mnie tylko, żeś pan przejechał taki szmat drogi na darmo. - Odwrócił się do pozostałych. - Może byście tak opowiedzieli co panu Palseyowi dla tej „Americany””? W końcu to on wam stawia. - Ruszył wzdłuż lady, napełniając puste szklanki.

- Na przykład jak to Chet Olsen i stary Amos wzięli się za łby? - spytał nagle Doc. - O takie coś panu chodzi?

Młody człowiek zawahał się.

- Raczej nie...

- Mamy tu taki zabawny miejscowy zwyczaj, od którego wszystko się zaczęło - przerwał Harpy. - No więc wsiedli na swoje traktory, przez cały czas rżnąc przyśpiewki...

Harmon pochylił się i trzasnął starego w kark.

- Niech Doc opowie - zarządził.

- Chwileczkę! - Palsey, w którym obudził się duch przedstawiciela „Americany”, wyciągnął notes i złoty ołówek. - Chciałbym to usłyszeć od samego początku.

- Wszystko przez te świnię Amosa - rozpoczął Doc - bo wlażyły Chetowi do ogrodu. Chet powiedział, że nic nie szkodzi, bo jest dobrym sąsiadem, a zresztą jego rodzina od dawna ma smak na świeżą wieprzowinę. Amos na to, że też jest dobrym sąsiadem, ale zanim wdowa i sieroty dojedzą pierwszego wieprzka, szwedzka przybłęda zawiśnie u niego w wędzarni. - Przerwał i wpatrzył się w szklankę. - Bo ja wiem, czy to warto opowiadać... ot, taka tam wsiowa historyjka, jakich wiele.

- I bardzo dobrze - rzekł Palsey. - Proszę dalej.

- No więc jak następnego dnia świniaki zaginęły, Amos zaszedł z siekierą do Cheta. W chałupie nikogo nie było, ale usłyszał wieprzki zamknięte w stodole. No to pociągnął siekierę oselką Cheta i wyrąbał mu w stodole nowe drzwi.

- Wysokie na dwa metry i na metr szerokie - dorzucił Harmon.

- I świnię wyszły. Patrzy Amos, a tu jednej brakuje. Przywiązany on był do tych swoich świń...

- Jak do rodziny - wpadł mu w słowo Harpy. - Bo nie miał ani baby, ani dzieci.

- Krew go zalała - ciągnął Doc - więc wziął się za ganek od frontu i porąbał go jak raz na podpałkę. Pokręcił się jeszcze po obejściu, pomajstrował, a jak Chet wrócił do domu...

- Był z całą rodziną w Abalone Junction - wtrącił Harmon.

- Więc jak wrócił, wsiadł z najstarszym chłopakiem na traktor, zepchnęli kurnik Amosa na pastwisko za jego chałupą i utopili go w stawie. Nic dziwnego, że się Amos znów wkurzył...

- Bo cały czas siedział w tym kurniku - objaśnił Harmon.

- Wraca Chet do domu, a tu baba jak na niego nie wsiądzie, że nie wolno starowiny tak traktować. A on, że staremu capowi dobrze to zrobi, może go trochę ostudzi. A ona: „Patrzaj, właśnie jedzie, ale widzi mi się, że go nie ostudziło”. Chet patrzy, a tu ci Amos jedzie na traktorze i wlecze jego dwie medalowe jabłonie. To był jeden z tych starych traktorów, na parę, i z górki wyciągał ze trzydzieści pięć, czterdzieści mil. Amos wjeżdża na plac przed stodołą, staje za kierownicą z kosą w rękę i rozwianymi bokobrodami i zaraz się sypie grad jabłek. A Chet ze swoimi stoi tylko i patrzy, jak Amos zajeżdża przed ganek. „Wypiłoby się kompocik z jabłek do tej wieprzowinki, co?” - ryczy stary.

- Kompocik jabłkowy z wieprzowinką dobra rzecz - przyznał Harpy. - A do tego gotowane ziemniaczki i miska zieleninki...

- No i tak. Chet sięga za drzwi po fuzję, a stary gazu i kosi dalej. Jedna jabłotka pod-

cięła Cheta za kolana, fuzja wypaliła, w dachu nad gankiem zostały dwie dziury, a stary Amos zaiwaniał na cały gaz, wlokąc Cheta, który próbował wygramolić się spod pnia. - Doc wpatrzył się w dno szklanki. - Tak przynajmniej słyszałem - dorzucił.

- Wspaniale! - Palsey gryzmołił zawzięcie. - To klasyka! Chyba już rozumiem... i co było dalej?

Doc wyciągnął nóż i zaczął przycinać paznokciec kciuka.

- A dalej to już nie słyszał - oświadczył. - A ty, Harmon?

Olbrzym zaprzeczył ruchem głowy.

- Widzi mi się, że któryś z nich skrzył kark - rzekł Harpy. - Ale tak od ręki to sobie nie przypomnę.

Palsey w osłupieniu spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Przecież nie mogliście zapomnieć... to niemożliwe!

- Wiem, kto panu o tym dokładnie opowie - pocieszył go Matt. - Człowiek nazywa się Ritter. Aż dziw, że wcześniej na to nie wpadłem. Zamawiał pan następną kolejkę?

- A tak, oczywiście. - Przybysz markotnie wpatrywał się w notes. - Tak dobrze pamiętaliście początek... nic już nie rozumiem.

Barman wziął pieniądze z lady i wydał resztę.

- Wracając do tego gościa, o którym mówiłem, musi go pan odpowiednio podejść. To dziwak. Jakiś czas temu skombinował taką maszynkę do drukowania pieniędzy z czasów wojny secesyjnej... ukrywa ją w jaskini, tam w górach.

Palsey jeszcze przez chwilę spoglądał na notes. Nagle poderwał się na stołku.

- Tak, tak - powiedział. - Proszę dalej.

Typowe, senne nadmorskie miasteczko, myślał Palsey, zapuszczając silnik i kierując się ku wybrzeżu. Ale cóż to za złota żyła dla „Americany”! Dobrze, że ją odkrył, skoro historia o wrakach okazała się niewypałem. Szkoda tego Waldemara. W tej branży bez mocnej głowy nie ma czego szukać. On sam na przykład wypił już kilka szklaneczek, a nigdy nie czuł się lepiej. Nie pamiętał, kiedy myślał równie jasno i przejrzyście i kiedy był tak swobodny. Zauważył, że od zachodu nadciągają zwały chmur. Dojechał do skrzynki na listy z napisem O. Ritter i skrzył na podjazd.

Kruchy człowieczek z łysiną okoloną rzadkimi kosmykami siwych włosów uchylił drzwi.

- Słucham?

Palsey uśmiechnął się.

- Chciałbym zabrać panu parę minut...

Drzwi zamknęły się. Zapukał jeszcze raz.

- Panie Ritter! - zawołał. - Przysłał mnie do pana Matt. - Odczekał chwilę. - Panie Ritter, mam tu dla pana dziesięć dolarów.

Gospodarz otworzył drzwi.

- Niech pan wejdzie - zaprosił go. - Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi - powiedział kilka minut później - ale jeśli chce pan poznać fakty, to w barze tracił pan tylko czas. Tam siedzą sami kłamcy... ba, żeby tylko kłamcy. Na przykład ten Harpy...

- Wygląda całkiem sympatycznie.

- Ha! Harpy sympatyczny... wszystko, tylko nie to. Ten jego braciszek też nie lepszy, a matka to nawet gorsza niż oni obaj razem wzięci. Pewnie, są tacy, co powiedzą, że oni wcale nie smarują masłem szosy, ale nikt mi nie powie...

- Chwileczkę! - Palsey błyskawicznie wyciągnął notes. - Smarować masłem szosę... nigdzie się nie spotkałem z tym zwrotem.

- Bo mało gdzie miałby sens. Ale do nas prowadzi tylko jedna szosa... widzi pan tę górę przed domem Harpy'ego i ten ostry zakręt na dole, nad samą wodą? No więc powiedzmy, że

przyjeżdżają tu jacyś nadziani goście. Naturalnie, muszą wracać tą samą drogą...

- Panie Ritter! - Oczy nieznajomego rozbłysły z przerażenia. - Nie sugeruje pan chyba...

- Tak? To na co Harpy'emu skafander do nurkowania? Może pan mi to wyjaśni? A jak pan myśli, dlaczego wyjeżdżając z miasta zawsze zabieram ze sobą kubełek piasku? Oczywiście, miejscowych podobno zostawiają w spokoju, ale nigdy nic nie wiadomo. Na przykład taki ojciec panny Astrakan... w gazetach podali, że uciekł z jarmarczną chiromantką, ale pytam się, czy ktoś go widział? Otóż nikt. Jednakże w tej sprawie proszę się zwrócić do panny Astrakan. - Co rzekłszy, Ritter wstał i zaczął popychać swego gościa do drzwi.

- Ależ tego nie wolno lekceważyć - protestował Palsey. - Trzeba kogoś zawiadomić...

- Trzeba. Niech pan skręci w stronę cypla... to następny dom po lewej.

Palsey wsiadł do samochodu i zapalił silnik.

- Jeśli chce pan jeździć po nocy, musi pan sobie sprawić reflektory! - zawołał za nim

Ritter.

Młody człowiek pokiwał głową, cofnął wóz, niszcząc przy tym krzak róży, i odjechał. Ściemniało się szybko.

Przedziwne miasteczko, myślał. Kopalnia materiałów, ale jakież to wszystko chaotyczne. Żadnego poczucia wspólnoty, przynajmniej w normalnym tego słowa znaczeniu. Denerwująca sytuacja. Zajechał przed dom panny Astrakan.

W ogródku od frontu stała tęga, starszawa kobieta z konewką w ręku. Miała na sobie kwieciste kimono i niebieski pluszowy kapelus. Gdy się do niego odwracała, przywołał uśmiech na twarz.

- Nie chciałbym nadużywać pani czasu, panno Astrakan... - Potknął się o węża ogrodowego, ukrytego w wysokiej trawie.

- A to dlaczego? - odparła dźwięcznym, scenicznym głosem.

- Zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach wszyscy jesteśmy zajęci, ale mam kilka pytań dotyczących pani ojca. - Zastanawiał się, czy nie wypadło to nazbyt poufale; nie chciał jej obrazić. - Proszę się nie obrażać, to nic osobistego. - Znów się uśmiechnął.

- Ach tak. - Przyglądała mu się przez chwilę. - Lepiej wejdźmy do środka.

Wprowadziła go do ciemnego, zaparowanego saloniku. Stało tam mnóstwo roślin w donicach - przeważnie chwasty, za to bujne i dorodne. Wydzielały odurzający zapach, przywodzący na myśl gaz błotny. Panna Astrakan usadowiła się w fotelu na biegunach i odstawiła konewkę na podłogę.

- Więc chciałby się pan zobaczyć z tatusiem? - spytała zniecierpliwiona.

- Zobaczyć się? - Usiadł, spoglądając na nią z zakłopotaniem. - Nie, nic podobnego nie mówiłem. Pan Ritter dał mi do zrozumienia...

- Pan Ritter? A tak, wiem, kogo pan ma na myśli. Zdaje się, że ostatnio występuje pod tym nazwiskiem. Ale, ale, nie odmówi pan chyba szklaneczki porto? - Odszukała dwie mętne szklanki z grubego szkła i napełniła je z porcelanowego imbryka. - Właściwie powinnam chyba używać karafki, ale tak trudno się z niej nalewa. No więc... - pociągnęła solidny łyk - tego mi było trzeba!

Palsey spuścił głowę, by ukryć uśmiech. Wino pozostawiło na jej twarzy szerokie, ciemnoczerwone wąsy, w miejscu, gdzie zwykle rysował się wąsik w kolorze soli z pieprzem. Ostrożnie upił ze szklanki - porto było zupełnie ciepłe i najwyraźniej wzmocnione.

- To bardzo miło z pani strony - bąknął.

- Jakże żałuję, że nie ma tu teraz z nami tatusia - ciągnęła. - Od razu przypadlibyście sobie do gustu. Tatuś właściwie z nikim się nie zadawał, ale ty byś mu starczył za cały świat. Serce mi to podpowiada. - Przycisnęła do piersi rękę, w której ścisnęła szklankę.

Uprzejmie pokiwał głową.

- A więc - zagaił, prostując się w fotelu, jak przystało na człowieka interesów - rozumiem, że pan Astrakan nie mieszka tu już od jakiegoś czasu?

- On był zupełnie inny niż wszyscy. Był księciem. - Oczami pełnymi łez patrzyła na niego sponad krawędzi szklanki. - Naturalnie, już od lat jest na emeryturze, ale tak bardzo go przypominasz swoją postawą, obejściem... wybaczone. - Ręką kimona otarła oczy. - Wiesz, on prowadził usługi żeglugowe. Zaopatrywał apteki, czasami woził pasażerów... przeważnie Chińczyków, ale Wschód zawsze go tak pociągał. Mam tu gdzieś śliczne pałeczki do jedzenia, żebym tylko pamiętała gdzie. Dostaniesz je ode mnie.

- Jest pani niezwykle uprzejma - podziękował. - Pozwoli pani, że się upewnię, czy dobrze zrozumiałem. Po przejściu na emeryturę pan Astrakan...

- Wielbiłby ziemię, której dotknęła twoja stopa. - Ruszyła ku niemu chwiejnie z porcelanowym imbrykiem.

- Ja już dziękuję naprawdę.

- Jesteś cudowny - stwierdziła. - Po prostu cudowny. - Z rozmachem klepnęła go w ramię. Wino wyprysnęło ze szklanki, plamiąc spodnie.

Potarł plamę lepkimi palcami.

- Drobiazg - rzucił. - Nic się nie stało.

Dolała sobie porto i wróciła na bujak.

- Mdli mnie na widok pałeczek do jedzenia. Tatusz na pewno chciałby, żebyś je dostał. Pozostaje więc tylko jedno. Idź do Caleba Vossa i zmusz go, żeby ci je dał. On był jednym z kapitanów tatusia i ma ich całe mnóstwo.

- Doprawdy, to niepotrzebne.

- Tak będzie sprawiedliwie. Przecież on je ukradł tatusiowi. Kradł coś podczas każdego rejsu, a raz nawet zabił chłopca okrętowego. Tatusz wciąż powtarzał, że to świetny kapitan, ale według mnie to prostak.

Palsey powstał niepewnie.

- Pójdę już.

- Sam chyba wiesz najlepiej, co robić. Bóg z tobą. - Odprowadziła go do drzwi i patrzyła od progu, jak idzie przez ogród i znowu potyka się o węża.

- Panno Astrakan! - krzyknął. - Ktoś mi zabrał pokrowce.

Z uśmiechem pomachała mu ręką.

- Powiedz Calebowi, że to ja cię przysłałam. Mieszka w ostatnim domu na cyplu.

Przez pewien czas jechał na pierwszym biegu. Miał wrażenie, że język lepi mu się od słodkiego porto. W dodatku widział trochę niewyraźnie. Było coraz ciemniej, a do tego padało. Postanowił odliczyć sobie za pokrowce z funduszu na wydatki. Były uszyte z drogiego tweedu i trudno osiągalne. Wrzucił dwójkę. Należało jak najszybciej zobaczyć się z tym kapitanem Vossem, a potem odczekać, aż przejaśni mu się w głowie, zanim ruszy w drogę powrotną.

Wkrótce siedział już ze szklanicą rumu na bocznym tarasie domku Caleba.

- Porto jest dobre dla takich grubych bab jak tamta - tłumaczył gospodarz - ale chudzielcowi jak pan zaraz uderza do głowy. Bo nie ma w co wsiąkać. A weź pan taki rum... wzmacnia cały organizm. Człowiek od razu czuje się lepiej.

Była to szczerza prawda. Już pierwsze pół szklaneczki sprawiło, że Palsey odzyskał jasność myśli, a i wzrok jakby mu się poprawił. Widział, że Caleb to szczerzy, uczciwy człowiek, natomiast co do innych powoli nabierał wątpliwości.

- Wie pan, jakoś nie wierzę, że zabił pan tego chłopca okrętowego - oświadczył.

- Co pan powie? - Caleb podniósł mosiężną lunetę i zaczął lustrować skały u stóp urwiska, nad którym siedzieli.

- Tak. Zaczynam podejrzewać, że niektórzy moi rozmówcy chcieli mnie zwyczajnie naciągnąć. Przypuszczam, że zwietrzyli okazję zarobienia paru groszy. Ale szybko się rozczarują. Moja firma płaci, i to bardzo dobrze, ale nasi pracownicy sprawdzają autentyczność wszystkiego, co chcemy kupić. Jeżeli „Americana” nie jest autentyczna, to już sam nie wiem

co. - Dopił rum. - Co pan tam tak ogląda?

- Małże. - Caleb odłożył lunetę i podniósł szklanę. - Od zmroku są niespokojne... nie podoba mi się to.

- Małże? - W głosie Palseya zabrzmiała nuta niedowierzania. - Ależ kapitanie...

Caleb chwycił trzonek siekiery, oparty o drzwi, i zamachnął się nim kilkakrotnie. Potem odłożył go na podłogę, tuż przy krześle.

- Synu, wracaj ty lepiej do miasta - doradził. - Sprawdzaj sobie tę swoją autentyczność tam, gdzie wiesz, co w trawie piszczy.

- Chwileczkę, kapitanie - wtrącił Palsey pośpiesznie. - Nie chciałbym pana, broń Boże, obrazić. Ale nie sądzi pan chyba, że nasi pracownicy...

- Mam ich gdzieś... - przerwał Caleb oziębło, podciągając nogawkę. Całą goleń pokrywała paskudna blizna. - Oto jak potwierdziłem autentyczność tych małży. Skończyło się raptem na czternastu szwach, ale dziękuję, jak dla mnie starczy.

Palsey patrzył na niego podejrzliwie, z wahaniem.

- Nic nie rozumiem - wyznał. - Nie widzę związku.

Caleb skrzywił się.

- Wie pan oczywiście, że istnieją rozmaite gatunki małży... sercówki, ostrygi, perłopławy. Każdy o nich słyszał.

Palsey przytaknął.

- Ale mało kto spotkał jeden gatunek... to znaczy, spotkał i przeżył. To małż tygrysi.

Palsey potrząsnął głową.

- Całymi latami nikt ich nie widzi i nikt nie wie, dokąd odeszły - mówił dalej kapitan. - Aż tu nagle setki, tysiące małży wychodzą na brzeg z rafy. Tak jak w zeszłym tygodniu.

Palsey pochylił się na krześle.

- Pozwoli pan jeszcze szklaneczkę... Tak, no więc są wielkości talerza do zupy, mają taką pofałdowaną skorupę i wylegują się na skałach. Pożerają kraby, węgorze i wszystko, co im się nawinie. Przeważnie są niegroźne i bezużyteczne, z jednym tylko wyjątkiem - jeżeli poznają smak ludzkiej krwi.

Palsey przeszedł przez taras i chwiejąc się na deszczu, wyrzwał za balustradę.

- Chce pan powiedzieć, że one tam teraz są? - zapytał.

- Tutaj, na szczycie urwiska, można oczywiście spać spokojnie - ciągnął Caleb. - Ale w tych domkach na plaży... - Przynął trzonek siekiery nieco bliżej krzesła.

Palsey odwrócił się do niego z gorączkowym błyskiem w oku.

- Kapitanie, chcę zejść na dół i je zobaczyć.

Caleb westchnął i powstał niespiesznie.

- Wiedziałem, że pan to powie... niestety. Ale teraz nie mogę się przecież wycofać. - Podniósł trzonek siekiery i podał swojemu gościowi lampę. - Idź pan przodem i oświetlaj drogę - polecił. Mijając samochód Palseya zatrzymał się nagle. - Ja cię kręcę, synu! Jakaś tu dojechał bez kół?

Młody człowiek poświecił sobie lampą.

- Kiedy tu przyjechałem, wszystkie koła były na swoim miejscu - wyjąkał.

- Te dzisiejsze samochody to już nie to, co kiedyś - oświadczył Caleb. - Tamtędy.

Ślizgając się i potykając, Palsey ruszył w dół stromą ścieżką.

- A to ci przygoda! - Wybuchnął gromkim śmiechem. - Czeka mnie zupełnie nowe przeżycie.

- O tak - zgodził się kapitan.

Deszcz przybrał na sile. Było już całkiem ciemno.

Doc Hemphill miał właśnie kilku klientów, gdy do sklepu wszedł zastępca szeryfa Mouser i ruszył wprost do lady, gdzie Doc pakował zakupy.

- Mówi wam coś nazwisko Clarence Waldemar?
Doc potrząsnął głową.
- A Gene Palsey? Znacie takiego? - ciągnął szeryf, przyglądając się badawczo sklepikarzowi.
- Palsey? - Doc wyciągnął z kieszeni fajkę z kaczana kukurydzy i zapalił. - Jasne. Kupował u mnie parę lat temu... ale potem zabrał żonę i dzieciaki i wyjechał.
- Zaraz, zaraz. Ten Palsey nie ma żony. To młody chłopak, wysoki blondyn.
- Nie taki znów młody... był dobrze po pięćdziesiątce. Miał przekrzywiony na bok nos i zawsze głosował na republikanów.
- Hej tam, słuchajcie no - szeryf Mouser zwrócił się do pozostałych. - Szukam dwóch zaginionych mężczyzn. Jeden z nich, niejaki Palsey, dwa dni temu wyjechał z Abalone Junction żółtym samochodem i od tej pory wszelki słuch o nim zaginął. A na placu przy tej ulicy leżą dwa żółte zderzaki. Podpytałem ludzi i nasłuchałem się diablo dziwnych rzeczy.
Nikt z obecnych nie zareagował na słowa szeryfa. Trudno powiedzieć, czy ktokolwiek go słuchał. W każdym razie kapitan Vossa najwyraźniej interesowała tylko i wyłącznie strzelba. Kilka razy uniósł ją do ramienia, sprawdzając, czy jest dobrze wyważona. Później zaczął omiatać nią pomieszczenie, jak gdyby celował do wymyślonej kaczki. Za każdym razem lufa zatrzymywała się bliżej szeryfa.
- Coś mi się tu nie podoba - stwierdził Mouser i przeszedł na drugą stronę lady.
Otworzyły się drzwi i wkroczył Harpy. Obrzucił szeryfa pustym wzrokiem, kiwnął mu głową i przysiadł na worku paszy.
- Doc, nie wiesz ty czasem, czyja to gablota z czerwoną syreną na dachu i przebitą oponą stoi przed sklepem? - zapytał.
Szeryf podskoczył do okna i odwrócił się z nabiegłą krwią twarzy.
- Co wiecie o tej oponie? - ryknął.
Harpy zamrugął.
- Kupiona za pieniądze podatników, to pewne - odparł. - Jeżeli nie potrafi pan upilnować swojego wozu...
- Potrafię go upilnować! - Szeryf opanował się z trudem. - I jeszcze parę innych rzeczy.
- W końcu za to panu płacą - skwitował Doc. - Harpy, przed chwilą dzwoniła twoja matka. Piecze ciasto i chce, żebyś jej przyniósł trochę smalcu.
Harpy pokiwał głową i ziewnął.
- Mówiła, żebyś przyniósł natychmiast - dorzucił Doc.
Harpy chwycił dwa dwudziestofuntowe skopki i wytoczył się na ulicę. Szeryf spojrzał na sklepikarza podejrzliwie.
- Panie, z kogo pan tu robi wariata? Nikt tu przed chwilą nie dzwonił, a zresztą na co komu czterdzieści funtów smalcu?
Podszedł kapitan Voss, trzymając strzelbę przewieszoną przez rękę.
- Weź pan taką rodzinę Harpy'ego - odezwał się. - Mają bzika na punkcie ciast. Szarlotka, placek z wiśniami, tort bananowy... im za jedno. Do jutra ta kapka smalcu zniknie bez śladu.
- Żarty się was trzymają? W porządku! - Wargi szeryfa drżały. Jego dłoń spoczęła na kolbie rewolweru. - Zanim tu skończę, ktoś tego jeszcze gorzko pożałuje. - Stanowczym krokiem ruszył do wyjścia i otworzył drzwi. - Zapamiętajcie sobie, coś mi tu podejrzanie śmierdzi, ale już ja to przejrzę do dna!
- O tak - przyznał kapitan. - Do samego dna!